

IV. ROZMOWY W REDAKCJI

Z Profesor Krystyną Anną Chojnicką rozmawia Henryk Olszewski

W poprzednich tomach „Czasopisma Prawno-Historycznego” redakcja prosiła o wypowiedzi uczonych, którzy – stojąc na szczytach naukowej sławy – byli naszymi mistrzami, podsumowywali swe osiągnięcia i niepowodzenia z kilku nieraz epok, definiowali swoje miejsce w dyscyplinach historycznoprawnych, którzy wypowiadali się o miejscu tych ostatnich pośród nauk o przeszłości i przedstawiali swój pogląd na ich znaczenie w obrębie prawoznawstwa. Dziś zwracamy się do reprezentantki nauk historycznoprawnych pokolenia, które co prawda już dziś może wykazać się poważnymi osiągnięciami, ale największe sukcesy ma wciąż przed sobą. Profesor Krystyna Chojnicka jest badaczką o bezspornym autorytecie naukowym, uczoną, która podczas swojego miejsca w środowiskach humanistycznych zawdzięcza oryginalnej tematyce zainteresowań i różnorodności inwestycji twórczych, która przeszła ciekawą drogę naukowego rozwoju i która ponadto może dziś legitymować się poważnymi zasługami w organizowaniu życia naukowego, a także wyróżnia się na polu kształcenia kadr naukowych.

Krystyna A. Chojnicka studiowała prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim, które ukończyła w roku 1974. Dziś jako profesor zwyczajny nauk prawnych drugą kadencję pełni funkcję dziekana Wydziału Prawa i Administracji, jako pierwsza kobieta w dziejach Wydziału tegoż Uniwersytetu. Wykłada historię doktryn politycznych oraz inne nauki humanistyczne i społeczne. Współpracuje z instytucjami praktyki prawniczej i gospodarczej, prowadzi liczne seminarium. Jest przede wszystkim znakomitym uczonym. Już w czasie studiów mogła zetknąć się z luminarzami nauk prawnych i nauk o polityce – Konstantym Grzybowski, Markiem Sobolewskim, Witoldem Zakrzewskim, Marią Borucką-Arctową i rozbudzić w sobie zamiłowanie do pracy twórczej. Kształtowała swój stosunek do badań także w kontaktach z rówieśnikami w środowisku krakowskim, które wtedy – podobnie jak dziś – jest centrum studiów nad teorią państwa i prawa oraz historią myśli politycznej i prawnej. Są nimi m.in. Michał Jaskólski, Wiesław Kozub-Ciembroniewicz, Bogdan Szlachta, Barbara Stoczewska – badacze, których twórczość promieniuje impulsami. Cechami pisarstwa Krystyny Chojnickiej są rzetelność w analizach rzeczywistości społecznej w Europie oraz rozległość horyzontów intelektualnych. W jej bibliografii naukowej figurują prace z zakresu metodologii historii idei, z dziejów społecznej doktryny papieżstwa, obszerne hasła w *Słowniku historii doktryn politycznych*, redagowanym przez Michała Jaskół-

skiego, a począwszy od tomu IV wspólnie z Krystyną Chojnicką. Jest współautorką akademickiego podręcznika historii doktryn politycznych i prawnych dla prawników, historyków i politologów (I wyd. 2004), podręcznika poświęconego integracji europejskiej (1997) i doktrynom politycznym XIX i XX wieku (2000), autorką tekstów przeznaczonych dla szerokiej publiczności, współredaguje renomowane periodyki „Krakowskie Studia z Historii Państwa i Prawa” i „Studia Erasmania Wratislaviensa”, od lat współpracuje z redakcją „Czasopisma Prawno-Historycznego”.

Głównym nurtem badań Krystyny Chojnickiej pozostają dzieje myśli rosyjskiej. Ten „wschodni” kierunek dociekań zaznaczył się już w przygotowanej pod kierunkiem profesora Marka Sobolewskiego rozprawie magisterskiej *Siergiej Nieczajew – jednostka dla rewolucji* (1974) i był kontynuowany w pracy doktorskiej *Zbędni ludzie – studium z kształtowania się świadomości politycznej inteligencji rosyjskiej* (1983) i monografii *Rodowód literacki inteligencji rosyjskiej* (1992), poświęconej fenomenowi „zbędnego człowieka” jako „zbiorowego portretu intelektualnego tzw. pokolenia lat czterdziestych”. W roku 1990 opublikowała Autorka książkę, która ugruntowała jej sławę jako badacza myśli rosyjskiej: *Osoba i dzieło Piotra Wielkiego w dziewiętnastowiecznych sporach o miejsce i przyszłość Rosji*. Praca zawierająca liczne wątki historiozoficzne, koncentrowała się wokół konfrontacji stanowisk dotyczących prawomocności działań władzy absolutnej w jej rosyjskiej odmianie oraz zasięgu recepcji europejskiej myśli politycznej i prawnej, w szczególności niemieckiej. W 2001 r. ogłosiła Autorka monografię *Narodziny rosyjskiej doktryny państwowej. Zoe Paleolog – między Bizancjum, Rzymem a Moskwą* (2. wyd. 2008). Główną tezę pracy, z żywym zainteresowaniem przyjętej przez krytykę, było uznanie odrębności doktryn konstytuujących państwo rosyjskie od – pozostającej w znacznym stopniu pod wpływami bizantyjskimi – myśli cerkiewnej, oraz podkreślenie ich świeckiego, najczęściej inspirowanego przez myśl zachodnioeuropejską, charakteru. Również ostatnia książka Krystyny A. Chojnickiej dotyczy tematyki rosyjskiej: to *Car i Cerkiew. Prawosławie rosyjskie w reformach Piotra Wielkiego* (2011), poświęcona prawemu obliczu, jakie przybrało podporządkowanie Cerkwi prawosławnej aparatowi państwowemu.

H. O.: Jakie inspiracje wyniosła Pani Profesor z domu; czy w tym, co Pani robi na polu badań, jest jakiś element tradycji rodzinnej?

K. Ch.: Ojciec był prawnikiem, adwokatem, cywilistą, wieloletnim dziekanem Rady Adwokackiej w Kielcach. Ale, chociaż w sposób dość oczywisty wybrałam studia prawnicze, to nie poszłam w jego ślady. Studentką byłam co najwyżej średnią, dogmatyczne przedmioty prawnicze jakoś mnie nie zafascynowały. Za to, kiedy po raz pierwszy wysłuchałam wykładów Profesora Marka Sobolewskiego z historii doktryn politycznych i prawnych, nie miałam żadnych wątpliwości, że to jest to. Moim wielkim sukcesem było, że Profesor po przeczytaniu mojej pracy magisterskiej podzielił to zdanie i przymknął oko na średnią ocenę ze studiów.

Cywilistką więc nie zostałam, ale z domu wyniosłam na pewno dwie rzeczy i to po obojgu rodzicach. Pochodzili z Poznańskiego i pewnie stąd pochodzi jakiś kult rzeczowości, skuteczności i niechęć do egzaltacji, celebrowania, świętowania i reprezentowania. Druga ważna rzecz, wyniesiona z domu, to przekonanie, że żyje się z książką. Czasem czyta się o „miłości do książek”, ale u mnie w domu było coś lepszego – żyło się z książkami na co dzień i to z różnymi książkami. Jak wspominam dzieciństwo, to widzę obrazek – rodzina z nosem w książce, książki pod choinkę, książki na plaży, nagle ktoś dostaje ataku śmiechu, bo przeczytał w książce coś zabawnego. Dumna jestem, że udało mi się przekazać mojej córce tę prostą prawdę, że książki są fajne. Dlatego jeżeli słyszę, że ktoś jest profesorem nauk humanistycznych lub społecznych i nie ma czasu na beletrystykę, bo pochłania go czytanie prac naukowych z jego dziedziny, to włos jeży mi się na głowie! Podobnie zresztą, kiedy mówią, że kino ich nie interesuje, a na teatr nie mają czasu.

Wspomniała Pani o Profesorze Sobolewskim, proszę więc powiedzieć, jacy byli inni Pani Mistrzowie, jaka atmosfera panowała w środowisku krakowskich historyków doktryn w czasach, kiedy zaczynała Pani pracę?

Zaczęłam pracę w roku 1974, przedtem dwa lata uczęszczałam na seminarium magisterskie. Panował kult Profesora Konstantego Grzybowskiego. Chociaż kult to raczej niewłaściwe słowo. Opowiadano głównie anegdoty, żywe były wspomnienia Marca 1968 r. i dużo mówiło się o tym, jak w tych dniach zachował się Profesor. Nigdy tego nie widziałam, ale to były tak plastyczne opowiadania, że wyobrażam sobie drobną sylwetkę Profesora Grzybowskiego, oczywiście z fajką w zębach, dyskutującego z osiłkami w mundurach MO, zupełnie ogłupiałymi, bo z jednej strony mają rozkaz zrobienia porządku z tymi warchołami z UJ, a z drugiej za parę dni, jako studenci zaoczni, zdawać mają egzamin z doktryn u Profesora. Tak więc Profesor Grzybowski stale był obecny, mimo że zginął tragicznie w 1970 r. potrącony przez samochód przy wyjściu z kwaciarni, w drodze na pogrzeb innego wybitnego uczonego, Romana Ingardena.

Proszę powiedzieć, jak w owym czasie wyglądała wolność badań?

Jeśli przypominam sobie pierwsze lata w Katedrze Historii Doktryn Politycznych i Prawnych, to nasuwa mi się jedno słowo – tolerancja. Można było pisać i mówić o wszystkim, tolerancja obejmowała także kilku uczestników seminarium, którym nikt nie przeszkadzał zajmować się tematami w rodzaju „Ruch ludowy w powiecie oświęcimskim w latach 1946-1948”, choć oczywiście było, że doktoratu nigdy z tego nie będzie. Ale każdy ma prawo próbować. Kiedy ja zgłosiłam swój temat pracy magisterskiej (oczywiście mowy

nie było o narzucaniu komukolwiek tematów prac!), Profesor Sobolewski tylko zmarszczył nos, uśmiechnął się i powiedział – niech pani próbuje. No to spróbowałam.

Katedra wchodziła w skład Instytutu Nauk Politycznych. Tam też z tolerancją (jak pokazały lata stanu wojennego) nie było źle, ale już wywierano na przykład naciski, żeby wstąpić do PZPR. W moim przypadku zresztą skutecznie. No i wszyscy musieliśmy prowadzić na różnych kierunkach obowiązkowe zajęcia z nauk politycznych. Koszmar. Ale też trzeba przyznać, że na szczęście nikt nie sprawdzał, w jaki sposób to robimy.

Obok Mistrzów byli też koledzy.

Oczywiście. Mistrzowie to, nieobecny już w czasie gdy poznawałam to środowisko, profesor Grzybowski, profesorowie Sobolewski, Opalek, Waldenberg, Zakrzewski i pierwsza w Polsce pani profesor prawa – Maria Borucka Arctowa. Bliscy naszym Mistrzom byli oczywiście historycy prawa pracujący podówczas na Wydziale Prawa i Administracji UJ, a wśród nich odnaleźć można było znaczące nazwiska. Wśród moich nauczycieli byli profesorowie Grodziski, Płaza, Osuchowski.

Starsi koledzy to obecny prezydent Krakowa, profesor Jacek Majchrowski, który ostatecznie został promotorem mojej pracy doktorskiej. Profesor Michał Jaskólski, mój szef – w kierowanej przez niego Katedrze pracuję od ponad trzydziestu lat. Profesorowie Wiesław Kozub-Ciembroniewicz i Rett Ludwikowski, który wprawdzie po wyjeździe do USA zmienił przedmiot badań naukowych, lecz nadal pozostaje z nami w przyjacielskich stosunkach. Kilka lat młodszy to profesorowie Barbara Stoczewska i Bogdan Szlachta. Trzeba przyznać, że wszystkie te nazwiska robią wrażenie. I w końcu uczniowie – ci, którzy pod moim kierunkiem pisali prace doktorskie. Wśród nich jeden, Włodzimierz Bernacki, jest już profesorem, a habilitację uzyskali Anna Citkowska Kimla, Piotr Kimla i Monika Ślufińska. Do habilitacji szykuje się kilku następnych. Najważniejsze, że wszyscy mamy bardziej lub mniej przyjacielskie kontakty.

Dlaczego właśnie Rosja stała się dla Pani głównym przedmiotem zainteresowania?

Są w życiu takie przypadki – nieprzypadki, które decydują o bardzo wielu istotnych rzeczach. Dla mnie był to spektakl w Teatrze Starym w Krakowie. *Biesy* według Dostojewskiego, w reżyserii i ze scenografią Andrzeja Wajdy. Pamiętam tę scenografię. Bezczesny horyzont, z którego emanował przenikliwy chłód. I pamiętam Wojciecha Pszoniaka w roli Piotra Wierchowieńskiego. Niezrównana rola i właściwie mogę powiedzieć, że to pan Pszoniak głównie

wpłynął na moje życie zawodowe. Zafascynowana tym spektaklem zaczęłam czytać *Biesy*, potem na temat *Biesów* i w sumie, licytując się z kolegami na najbardziej „odjechany” temat pracy magisterskiej, postanowiłam napisać o Siergiuszu Nieczajewie, który był prototypem Wierchowienieńskiego. To wtedy Profesor Sobolewski powiedział – niech pani próbuje.

Jak należy pisać o Rosji?

Nie ma na to recepty. Na pewno nie tak, jak mówi się o niej w telewizji, gdzie jak mi się wydaje, jedyną kwalifikacją do zajęcia stanowiska korespondenta w Moskwie jest nienawiść do Rosjan i niezłomne przekonanie, że wszyscy oni są brudnymi kacapami, śmiertelnie zazdroszczącymi Polakom głębokiej kultury i ogłady. Po prostu rozpacz. Podobnie jak każdy płaski i bezrefleksyjnie powtarzany schemat. Już pomijając wszystkie inne argumenty, wystarczy przypomnieć, jak wiele razy w historii mściło się na nas lekceważenie Rosji. Pod każdym względem zresztą.

Jeżeli więc pisać o Rosji, to bez uprzedzeń. A jeśli ktoś nie potrafi, niech nie pisze. Nasze stosunki z Rosją to od wieków historia naszych krzywd. Zabory, 17 IX 1939 r., prawie pół wieku tzw. realnego komunizmu. Tego nie zrównoważy sukces wojny polsko-bolszewickiej, a nawet nasze teraźniejsze członkostwo w NATO i UE. Ale co ciekawe, Niemcy jako sąsiedzi wyrządzili nam jeszcze więcej zła i nie mamy o nich współcześnie takiego złego zdania. Nie znajdujemy więc innego wytłumaczenia, jak tylko to, że pomiędzy Polską a Rosją przebiega ta magiczna i niewidzialna granica pomiędzy kulturą Wschodu i Zachodu. To zadziwiające, że przez tyle wieków granica ta ani drgnie. Tyle że jeżeli my jej teraz nie zburzymy, oczywiście mentalnie, to nic nie wyjdzie ze zjednoczonej Europy i w kolejnych pokoleniach historia będzie się bezlitośnie powtarzać. I wcale nie chodzi o to, żeby lubić Rosję, czy nie lubić, ale żeby przestać sobie poprawiać humor, podchodząc do niej z wyższością, również tą urojoną.

Wszystko to dotyczy współczesnej publicystyki na temat Rosji, ale też nauka nie jest bez winy. Schematy, schematy, schematy. Ta dusza rosyjska, nieprzenikniona i cierpiąca, „umom Rossii nie pojmosz”, ta Moskwa – Trzeci Rzym, lud rosyjski – pokorny milczący olbrzym, wśród którego nie brak jurodliwych i genialnych szaleńców, niezmiennie okrucieństwo władzy, jako dziedzictwo mongolskie, terroryści jako „szlachetni zabójcy”, „ołowiane oczy cara”, spontaniczny a nawet organiczny komunizm, jako dziedzictwo odwiecznego rosyjskiego gminowładztwa, bizantyzm we wszystkim, no po prostu groch z kapustą. Ja staram się pisać o Rosji głównie w aspekcie funkcjonowania jej władzy. Dostrzegam tam niezwykłą konsekwencję i czysto racjonalne motywy. I zero mistycyzmu, ideologii, zero przypadkowości. Za to mistrzostwo w działaniach socjotechnicznych. To właśnie miałam na

myśli, mówiąc o niedocenianiu Rosji, które mści się na nas, Polakach, od wieków.

Czy to znaczy, że nie mamy dobrych badaczy Rosji?

Mamy. Ten wspomniany „groch z kapustą” wymyślili zresztą sami badacze rosyjscy, przeważnie jeszcze w XIX wieku. Oczywiście mówię o historii myśli Rusi moskiewskiej, Rosji carskiej i imperialnej, bo taka stanowi przedmiot moich zainteresowań. W Polsce są wybitni badacze Rosji i jej myśli; szkoda, że coraz mniej zajmuje się Rosją najwybitniejszy, profesor Andrzej Walicki. Nie żyje profesor Ludwik Bazylow, wybitny historyk. Tak jak profesor Andrzej Andruszewicz z Rzeszowa nikt w Polsce nie zna historii Rosji, w najdrobniejszych szczegółach. Wiele dobrego robią kulturoznawcy, wywodzący się ze środowiska filologów. W Krakowie był to prof. Ryszard Łużny, a obecnie profesorowie Lucjan Suchanek, Hanna Kowalska-Stus, Anna Rażny. Wszyscy oni mają uczniów, niejednokrotnie znakomitych, ale oczywiście nie ma tu miejsca na ich wymienianie, choć na pewno szkoda.

Przykro mi tylko, że historyków doktryn politycznych w badaniach dotyczących myśli rosyjskiej zastępują często, i to z dobrym skutkiem, nie tylko historycy, lecz filozofowie i filologowie. Ale ja sama nie dochowałam się ani jednego doktoranta, któremu zdołałabym przekazać swoje zainteresowania. Nic na siłę, każdy powinien zajmować się tym, co go interesuje – taką naukę wyniosłam z seminarium Profesora Sobolewskiego.

A z jakim odzewem spotykają się Pani prace?

Wiem, że nie przechodzą bez echa w środowiskach związanych z myślą rosyjską. Świadczą o tym recenzje, cytowania. I to najważniejsze, niczego lepszego nie mogę sobie życzyć. Wiem również, że wzbudziły zainteresowanie wśród badaczy rosyjskich. Ale spotkałam się też ze zjawiskiem, niestety dość powszechnym i nawet dość śmiesznym, że cytowane są moje prace, których autor wyraźnie nie przeczytał, tylko tytuł mu widać pasował do tematu, a bibliografię i przypisy musiał w pracy zamieścić.

Natomiast przyznać się w tym miejscu muszę, że nie mam bliższych kontaktów z rosyjskimi uczonymi. Oczywiście wytykano mi to w opiniach dotyczących kolejnych stopni i tytułów naukowych i słusznie. Ale jak sądzę, są też pozytywy takiej sytuacji, chociaż mogę się w tej kwestii samookłamywać. Chodzi mi o to, o czym już mówiłam. Rosja budzi silne emocje i na swój użytek wypracowałam sobie taki pogląd, że większy obiektywizm w jej badaniach zachować można unikając zaangażowania emocjonalnego, nierozdzielnie związanego z osobistymi relacjami. Za to muszę się pochwalić, że dokładnie czytam dokumenty i źródła. Przy pisaniu mojej książki poświęco-

nej żonie Iwana III, Zoe Paleolog, czułam się dziwnie, kiedy w Bibliotece Jagiellońskiej pani bibliotekarka podawała mi wydaną przed stu lub dwustu laty książkę, od razu razem z nożem do rozcinania kartek. Przez te dwieście lat nikt tych tomów nie przeczytał! A były to czasami egzemplarze unikatowe, nawet jedyne w Polsce, cytowane w polskich pracach dość powszechnie. W wielu przypadkach nawet się domyślałam, skąd te cytaty były zaczerpnięte.

Jest Pani pierwszą kobietą–dziekanem Wydziału Prawa i Administracji UJ w sześćsetpięćdziesięcioletniej historii tego Wydziału. W 2012 roku została Pani jednogłośnie wybrana na drugą kadencję. Pani zastępczyniami są kobiety.

Prawie jednogłośnie. Jeden głos był przeciw. Natomiast moimi zastępczyniami są nie tylko kobiety. Prodziekanami są dwie panie profesor, historyk prawa Dorota Malec i kryminolog Janina Błachut, ale w składzie dziekańskim jest też cywilista, profesor Jerzy Pisuliński. A dla nikogo na Wydziale nie stanowi tajemnicy, że cały skład dziekański jest krótko trzymany i dyscyplinowany przez pracowników dziekanatu na czele ze znanym z silnej osobowości kierownikiem Krzysztofem Kopaczem. Pracuje się razem, bez względu na płeć. Mam po prostu świetnych współpracowników i już.

Natomiast zamiast wprowadzania siłą parytetów i zamiast tego, żeby wbrew naturze języka, na siłę, zanim nastąpią w nim naturalne, ewolucyjne zmiany, robić ze mnie zamiast dziekana dziekanę (jest taki akademik w Warszawie), trzeba po prostu pracować tak, żeby w następnej kadencji już nikogo nie dziwiło, że kobieta zajmuje takie stanowisko.

Uczciwie jednak mówiąc, oczywiście nie jest to bez znaczenia, że w dziekanacie jest dużo kobiet. Jest prościej i weselej. Przepraszam, że to mówię, ale taka jest prawda, że wielu z naszych kolegów lubiło celebrować swoją władzę, dawać się prosić, udzielać uroczyste zgody albo jej odmawiać, i ogólnie rzecz biorąc dziekanić w dziekanacie. A my przekłużyliśmy parę takich balonów i nie ukrywajmy, uszło nam to na sucho bo jesteśmy babami.

A Pani lubi rządzić?

Lubię być skuteczna. Lubię mieć rację. Mam na biurku plakietkę z napisem: „A nie mówiłam?” Myślę, że jestem dość próżna. Jeżeli to jest rządzenie, to lubię rządzić. Natomiast nie znoszę zajęć z cyklu: „pani dziekan zasiądzie, weźmie udział, uświetni swoją obecnością i dokona uroczystego otwarcia, zamknięcia, przecięcia itepe.” Ten aspekt rządzenia absolutnie mnie nie pociąga i wyda mi się beznadziejną stratą czasu. Poza tym jak coś robię, to chciałabym, żeby to było po coś. A do czego ma służyć kolejne powitanie kolejnych uczestników kolejnej konferencji i zapewnienie ich, że ich wizyta napawa nas radością i ży-

czę im owocnych obrad. Gdyby nas nie cieszyło i gdybyśmy się spodziewali marnych obrad, to byśmy nie organizowali tej konferencji. Nie, przepraszam. Organizowalibyśmy. Bo potrzebujemy punktów do parametryzacji.

To prowadzi do kolejnego pytania. Czy prawdziwa jest opinia o coraz większej biurokracji nauki?

Oczywiście. Jest to proces w pewnym stopniu nieuchronny. Zawsze byłam zdania, że uniwersytet to mistrzowie i uczniowie i tylko tak można osiągnąć prawidłowy rozwój nauki. Nawet więcej. Sądzę, że uniwersytety, które powstały w średniowieczu są instytucjami, w których panują stosunki feudalne i tak być powinno. Tyle, że to niemożliwe. Z jednej strony coraz więcej jest szkół wyższych. Z drugiej chcemy umiędzynarodowić i badania, i studia, umożliwić współpracę w ramach Europy i całego świata. I dlatego trzeba sprecyzować reguły, dzięki którym możliwe będzie z jednej strony podstawowe ujednoczenie zasad działania szkolnictwa wyższego, a z drugiej dostosowanie go do wymogów europejskich. To tyle, o ile chodzi o uzasadnienie pewnych działań, podejmowanych przez władze państwowe, najczęściej przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego.

Czyli wszystko w porządku?

Niestety, robi się to w sposób, który najczęściej zasługuje na określenia: pozornie i fragmentarycznie. Nie ma miejsca, żeby to wszystko opisać. Jest znakomite pismo, „Forum Akademickie”, w którym od lat ukazują się artykuły temu poświęcone. I co? I nic. A więc w skrócie. Po co ciągle nowelizować ustawy dotyczące szkolnictwa wyższego i każdą zmianę „konsultować” przez tydzień, zamiast napisać nową ustawę, solidnie i uczciwie konsultowaną ze środowiskiem przez cały rok. Ustawa ta powinna być znacznie mniej szczegółowa niż obecna. Dobre prawo powinno być ogólne, tak mnie uczyli, a kazuistyka jest reliktem dawnych kodyfikacji. I dalej. Dlaczego, mimo komputeryzacji, wiele dokumentów, na przykład wnioski do Narodowego Centrum Nauki, muszą być składane w czterech egzemplarzach z podpisami pięciu osób piastujących różne stanowiska. Dlaczego każdego roku trzeba składać kilka sprawozdań, zamiast jednego, solidnego i kto decyduje o tym, że jedna rubryka w sprawozdaniu ma mieć dwa tysiące znaków a druga siedemset. Kto na serio wierzy w to, że „efekty kształcenia” zawarte w dokumentach sporządzonych według Krajowych Ram Kwalifikacji stanowią dla jakiegokolwiek kandydata wskazówkę decydującą o wyborze kierunku studiów. Dlaczego monografia musi mieć sześć arkuszy, co wyłączałoby w tej definicji *Księcia Machiavellego*, *Rozprawę o metodzie Kartezjusza* czy *Umowę społeczną* Rousseau, bo one sześciu arkuszy nie mają. Dlaczego „lista filadelfijska”

jest bogiem, a listę czasopism Ministerstwa uzupełnia się przede wszystkim w wyniku wypełnienia szeregu warunków, które zależą w największym stopniu od operatywności redaktora, a w znacznie mniejszym od poziomu pisma. I mogłabym tak jeszcze kilka godzin.

Co więc robić?

Działać nie prewencyjnie, lecz następczo. Dać nauce wolność, zaufać uczonym, a następnie porządnie ich kontrolować i oceniać. I powinni to robić ludzie z autorytetem, a nie urzędnicy i ci, co mają dużo czasu, bo nie napisali nic wartościowego od kilku lat. Konsekwencje także nie powinny być pozorowane, lecz dotkliwe. Na razie środowisko dobrze wie, kto jest w swojej dyscyplinie naprawdę dobry, a kto jest tylko rekordzistą w gromadzeniu punktów, przy czym demoralizujące jest to, że nie zwraca się na ogół uwagi i nikogo nie dziwi, jeżeli są to zupełnie różne osoby. Możemy się tylko pocieszać, że problemy mamy nie tylko my, ale podobnie jest w całej Europie.

Jest Pani przedstawicielką historii doktryn politycznych i prawnych. Jak ocenia Pani miejsce przedmiotów historycznoprawnych w nauczaniu prawa?

Trudno, żebym odpowiedziała inaczej aniżeli tak, że przedmioty historyczne są ważne. Dla mnie są ciekawe, a nie dla każdego muszą takie być. Ale niezbędna jest wiedza, że prawo jest jednym z podstawowych fundamentów naszej cywilizacji i konieczne jest umieszczanie prawa w kontekstach cywilizacyjnych, kulturowych i historycznych. Pewnie, że czasy się zmieniają, ale nie trzeba się poddawać. Tradycyjnie prawnicy byli elitą intelektualną, autorytetami zarówno w społecznościach tak wielko- jak i małomiasteczkowych. I między innymi zawdzięczali to ogólnohumanistycznej edukacji i chociażby podstawowej znajomości łaciny. I komu to przeszkadzało?

Dlaczego więc na polskich uniwersytetach coraz mniej miejsca w programie zajmują przedmioty historycznoprawne, w tym historia doktryn politycznych i prawnych?

Generalnie sądzę, iż chodzi o to, że coraz więcej uwagi zwraca się na praktyczne efekty kształcenia, konkurencja pomiędzy absolwentami rośnie, a wszyscy chcą koszty, więc panuje przekonanie, że lepiej zorganizować zajęcia z jakiejś szczegółowej ustawy, bo studenci tak wolą, niż z przedmiotu teoretycznego czy historycznego. Oczywiście to bez sensu, albowiem dobrze wyposażony w wiedzę ogólną prawnik sam bez trudu zinterpretuje konkretny akt prawny. Tylko trudno to wytłumaczyć studentowi pierwszych lat studiów, który prawo na ogół zna z amerykańskich filmów, a w nich nikt o historii prawa nie roz-

prawia. Nie bez znaczenie jest też i to, że przysłowiowy monograf z „ustawy śmieciowej” łatwiej zaliczyć niż prawo rzymskie, a poza tym mówią o „śmieciowej” w telewizji, a o Kodeksie Justyniana raczej nie.

Czyli nie ma szans na zmianę takiego stanu rzeczy?

Ja oczywiście nie znam żadnych uniwersalnych recept na poprawę sytuacji i mimo że mamy regularne spotkania dziekanów uniwersyteckich wydziałów prawa i przy różnych okazjach wymieniamy się doświadczeniami, to przecież trudno mi powiedzieć, jakie są przyczyny takiego stanu rzeczy na różnych wydziałach. Mogę tylko powiedzieć, jak to było w Uniwersytecie Jagiellońskim. Nam się w sumie udało, przy okazji wprowadzania punktów ECTS, uniknąć zmarginalizowania przedmiotów historycznoprawnych, chociaż na początku wprowadzania tej reformy nie brakowało obaw i protestów. To był pomysł pani prof. Błachutowej, obecnej prodekan. Pozwolił uniknąć dyskusji na temat tego, który przedmiot ważniejszy i któremu z tego tytułu należy się więcej godzin i więcej punktów ECTS.

Na czym polegał ten pomysł?

Na zbudowaniu systemu. Oczywiście muszą być w programie przedmioty obowiązkowe. Ale jest ich tylko dziesięć. Prawo cywilne, karne i administracyjne, materialne i procesowe. A na pierwszym roku konstytucyjne, wstęp do prawoznawstwa, logika i jeden z przedmiotów historycznych. A poza tym każda katedra i zakład, a jest ich w sumie, poza tymi, które prowadzą przedmioty obowiązkowe, około dwudziestu pięciu, ma prawo do prowadzenia przedmiotu podstawowego; jego nazwa jest na ogół zgodna z nazwą katedry. Te przedmioty mają taką samą liczbę godzin (45 lub 60) i taką samą punktację. Tych przedmiotów musi student zaliczyć kilkanaście. A każdy pracownik, przynajmniej adiunkt, może zgłaszać przedmiot specjalizacyjny do wyboru przez studentów, o którego przydatności decyduje komisja. I te przedmioty mają ten sam wymiar godzinowy i punktację, i nie ma żadnych przeszkód, żeby były to przedmioty historycznoprawne. Przejryste reguły są najlepsze.

I studenci UJ wybierają historię prawa i doktryny?

Oczywiście nie wszyscy, ale zasadniczo nie ma większych problemów. Niektórzy studenci wybierają te przedmioty niejako z konieczności, bo na pierwszym roku nie mogą na przykład wybierać prawa wykroczeń czy europejskiego prawa konkurencji, bo do tego trzeba najpierw zaliczyć prawo karne i cywilne. Ale na ogół nie brakuje też studentów prawdziwie zainteresowanych historią prawa i jest ich całkiem sporo. W rezultacie wszystkim

pracownikom udaje się skompletować seminaria magisterskie i wypromować doktorantów.

W tym roku Wydział Prawa i Administracji UJ obchodzi 650-lecie. I według wielu rankingów i ocen jesteście najlepszym wydziałem w Polsce.

Bardzo się z tego cieszę, ale mogę tylko powiedzieć, że staramy się, żeby był najlepszy. I naprawdę, zależy to tylko od pracowników Wydziału. Kiedy proszę kogoś z nich o udział w komisji, o napisanie opinii dla rektora czy sprawozdania, nigdy nie spotkałam się z odmową. Otwieramy teraz nowy kierunek studiów, „Prawo własności intelektualnej i nowych mediów”, i zaangażowanie w prace nad przygotowaniem programu było imponujące. Na marginesie wspomnę, że również w programie tych studiów znalazło się miejsce na historię prawa i myśli politycznej. A co również bardzo ważne, jeżeli nie najważniejsze, wprawdzie jak wszędzie i u nas zdarzają się animozje czy antypatie, ale nie ma żadnego otwartego konfliktu, a rektor patrzy na nas z niedowierzaniem i zdumieniem i mówi do mnie: „Z twojego wydziału to ja nie mam żadnych wniosków na komisję dyscyplinarną dla pracowników”. Taki mam wydział i nie moja to zasługa. Miałam znakomitych poprzedników i choć nie chcę nikogo szczególnie wymieniać, to oni przekazali mi wydział doinwestowany, niebiedny i uporządkowany. To są najlepsze warunki do bycia najlepszymi.

Dziękuję Pani Dziekan za rozmowę.

